

JOCHEWED FLUMENKER

ur. 1919; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, rodzina i dom rodzinny, ulica Kowalska, ulica Kowalska 6, ulica Furmańska 2, sąsiedzi, fryzjer Huberman, piekarz Bajtel, gimnazjum humanistyczne, edukacja, potrawy, rabin Szlomo Eiger, ulica Szeroka 40

Rodzina i dom rodzinny

Nazywam się Jochewed Flumenker, z domu Frajd. Matka była z Lublina, a ojciec był z Zamościa, kiedy się ożenił, przeprowadził się do Lublina. Pierwsze mieszkanie, które ja pamiętam, było na Kowalskiej 6, róg Furmańskiej 2. Pamiętam, że na dole w domu mieszkał fryzjer jeden – Huberman i też miał w tym samym domu fryzjernię. Poza tym przeważnie były tam sklepy ze skórami, bo cała ulica Kowalska była znana z wyrobów skórnych. Nie tylko wyroby, ale właśnie skóry, które sprzedawano.

W domu byli różni ludzie, była część dość zamożnych, ale na pierwszym piętrze czy na parterze mieszkali dość biedni. Pamiętam, [był] jakiś szewc i znany piekarz, który sprzedawał świetne bułeczki, Bajtel się nazywał. Pamiętam, [że] jak wyglądałam przez okna, na rogu siedziała taka stara Żydówka. Chyba miała wtedy dwadzieścia pięć lat, ale dla mnie była stara. Zupełnie na ziemi siedziała, miała szeroką spódnicę i pod tym były ciepłe takie niby pączki, ale to nie były pączki, to było jakieś specjalne żydowskie jedzenie, zdaje się z kaszą.

Ojciec mój miał sklep skór dość duży, początkowo na Kowalskiej 8, a potem, jak się trochę wzbogacił, przeprowadził się na Kowalską 4. Tam było podwórko, [z którego] z jednej strony wychodziło się na Kowalską, a z drugiej – na ulicę Cyruliczą. Poza tym, na tej ulicy, na rogu Kowalskiej i Lubartowskiej była księgarnia i piśmienne papiery.

Ojciec był dość pobożny, matka też, prowadziło się koszerny dom. Ja miałam siostrę, to ojciec zawsze mówił, że dzięki Bogu, że nie ma synów, bo gdyby synowie nie byli pobożni, to by go bardzo bolało. Ale jak długo byłam w domu, [przestrzegałam zasad szabatu] – nie jeździłam, nie było tak bardzo potrzeby jeździć po Lublinie, nie pisałam, bo chodziłam do żydowskiego gimnazjum. Dopiero potem się zepsułam. Pojechałam po maturze na rok do Warszawy [do] Wyższej Szkoły Handlowej i nie zdążyłam skończyć jej. Po maturze chciałam jechać do Palestyny, to [ojciec] mówił: – W Europie gdzieś rozumiem, ale tak daleko? [A matka mówiła]: I będę miała

papierową córkę? Znaczą listowną tylko.

Matka chodziła do tej dużej [synagogi], bo to była bardziej taka progresywna, a ojciec [chodził do] shtibla na Szerokiej 40. Tam był raw, to był znany lubelski raw – Eiger, raw Szlojme [Szlomo] Eiger, tam [ojciec] chodził każdej soboty się modlić i jak wracał o dwunastej, to musiałam być w domu. Bardzo się wewnątrz buntowałam, [wtedy] była inna młodzież, nie odpowiadała tak jak dzisiaj czy [jak] moje dzieci. I o dwunastej, kiedy normalnie moje koleżanki szkolne spacerowały na Krakowskim Przedmieściu, ja musiałam wrócić do domu, bo był obiad, nie wolno się było spóźnić na obiad. [Jadło się] gefilte fisz, czasem była taka wątróbka siekana, potem rosół, jak u wszystkich, z farfelkami. I wtedy nie baliśmy się jeść mięsa wołowego, a czasem robiło się czulent. Jeszcze potem mięso dość tłuste, bo im było tłustsze, tym było smaczniejsze. Potem poszło się trochę odpocząć zaraz po jedzeniu, to się mówiło, [że] jak po takim obiedzie ktoś wstawał, to było tak jak zmartwychwstanie.

Dom był dość duży i często przyjmowaliśmy gości. Ja robiłam takie wieczorki dla szkolnych dzieci, oczywiście do siódmej, do dziesiątej, bo na dłużej nie wolno było wychodzić.

Data i miejsce nagrania	2005-05-24, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn, Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"